

Forsa dla literata

Do Iwaszkiewicza pisało się, kiedy brakowało forsy



Do Iwaszkiewicza pisało się, kiedy brakowało forsy

W 1945 roku Anna Świrszczyńska pisze do Jarosława Iwaszkiewicza: „Czy nie wiem Pan przypadkiem, gdzie i u kogo na Bożym Świecie mogłabym dostać trochę forsy?” O forsie pisała zresztą do niego kilka razy w czasie wojny. Bo do Iwaszkiewicza pisało się, kiedy brakowało forsy.

Ten wspaniały pisarz, rodem z dziewiętnastego wieku, w tym dawniejszym czasie zadomowiony, zdołał uzyskać rzadką w pisarskim fachu finansową stabilność. Ożeniony z zamożną panną, umieszczony przez teściów w neoklasycystycznym dworku, z licznymi placami, które

w ciężkich czasach można sprzedawać, z gospodarstwem, drzewami i tym wszystkim, co nie pozwala nie martwić się o codzienność - przed, w czasie i po wojnie. A więc to życie – jakby się pozornie wydawało – nie tknięte przez zmianę systemu, wymarzony los pisarza-ziemianina, jest przedmiotem namysłu Marka Radziwona. W „Iwaszkiewiczu. Pisarzu po katastrofie” kreśli on polityczną biografię literata.

Przed wojną człowiek raczej konserwatywnej prawicy, autor znakomitych „Czerwonych tarcz”, jak dla mnie taki nasz rodzimy Junger, po wojnie literat z dorobkiem, ale jednak koncesjonowany, narzędzie władz w uspokajaniu i odradykalizowaniu środowiska pisarzy, więc ten pisarz nigdy nie miał dość mocy, ale też chyba ambicji, aby kreować jakąkolwiek politykę. Potrzebował raczej przestrzeni do tego, by swoją wspaniałą sztukę uprawiać i – co trzeba mu przyznać – dbać o podobną przestrzeń dla innych.

W tych zabiegach chyba w pewnym momencie się pogubił, bo kiedy jego koledzy literaci zaczęli narzekać na cenzurę, podpisywali listy i inne śmiało jak na tamte czasy petycje, on z pewną niechęcią, ale jednak, sygnował kontrlisty, a na zebraniach podnosił wciąż kwestie literackich emerytur i limitów papieru. Te sprawy, zapewne ważne, graniczne dla wielu, te sprawy forsy, już wtedy nie były najważniejsze. Z jakichś względów sprawy cenzury w wystąpieniach Iwaszkiewicza pojawiały się znacznie rzadziej, prawie w ogóle, za to opozycyjnych kolegów oskarżał o brak rozsądku.

On sam, człowiek, który ideologii komunistycznej w zasadzie się nie zaprzedał, poza kilkoma niewielkimi epizodami z dostosowywaniem się do socrealistycznej poetyki, pisał cały czas swoje, nie tknięte przez

ideologię systemu, jej postulaty i zbawienne cele. Potrafił pozostać dziewiętnastowiecznym literatem, który chadzał do Gomułki i łączył jakoś swoją sztukę wyabstrahowaną z presji zaangażowania z całkiem prozaiczną obecnością prozaika na zebraniach plenum związku literatów.

Jeśli mamy mówić o filozoficznych korzyściach z lektury takiej politycznej biografii, to powinniśmy zapytać o wolność i niewolę. W jakim stopniu zachowanie Iwaszkiewicza i jego pozycja w PRL była rezultatem wewnętrznej wolności, własnej przestrzeni działania, a na ile trybutem spłacanym bestii, okupantowi i barbarzyńcy. Bo to, że ideologicznie mu było z władzą nie po drodze – możemy być pewni.

I wreszcie, czy na przykładzie Iwaszkiewicza nie powinniśmy nakreślić portretu pewnej postawy wypracowanej pod rosyjskim zaborem, postawy szlachcica, którego dobra wprawdzie pozostają w granicach imperium, ale jednak na teren samych włości reprezentanci okupanta nie wejdą, jeśli nie zostaną zaproszeni? Postawa Iwaszkiewicza byłaby wtedy efektem przerobienia długiej i poważnej lekcji, skumulowaniem doświadczenia, oznaką historycznej rozwagi, która jednak w drugiej połowie XX wieku była już nieaktualna, nierealistyczna i niewłaściwa.

Kolejne pytanie: czyją postawę powinniśmy bardziej cenić. Tych, którzy wiernie oddali duszę Stalinowi, pracowali ku jego chwale i na pohybel upiorom przeszłości, po czym przechodzili nawrócenie i z równą gwałtownością system niszczyli, czy takich Iwaszkiewiczów, którzy nigdy nie sprzedali się do końca, ale też przeciw systemowi nie chcieli występować? Z której postawy więcej pożytku i która zasługuje na większą pochwałę?

Dokładnie nie wiem, ale fascynuje mnie ten obraz pisarza, który udekorowany kolejnymi medalami fotografuje się z włodarzami komunistycznego państwa, by potem wrócić do swojego dworku, założyć szlafrok, wyciągnąć nogi i czytać Kierkegaarda. Jest w tym sporo dezynwolontury, kpiarstwa z politycznej doczesności, może i szlachetnej nieodpowiedzialności, która pozwoliła mu do końca tworzyć i pozwolić, by jego książki były czytane. Być może, gdyby nie on, literatami kierowałby nieprzerwanie wyłącznie Putrament, a wtedy już nie byłoby takich oaz wolności jak Stawisko, jak pewna swoboda dyskusji, która pozwalała na wystąpienia Dąbrowskiej, Słonimskiego czy Jasienicy. Byłaby radziecka musztra i koniec.

Być może. Ale przecież ta reglamentowana wolność nie była zasługą Iwaszkiewicza, nie wynikała z jego zabiegów, ale raczej z przyzwolenia samej władzy. To oni dawali od czasu do czasu nieco swobody i Iwaszkiewicz z tego skwapliwie korzystał. Jeśli był kimś w rodzaju peerelowskiego pozytywisty na odcinku literackich związków, to był to pozytywizm dokładnie zaplanowany i wyreżyserowany.

**Marek Radziwon, *Iwaszkiewicz. Pisarz po katastrofie*, W.A.B.,
Warszawa 2010**